

**JANUSZ
KORCZAK**

MOŚKI, JOSKI I
SRULE

Janusz Korczak

Moški, Joski i Srule

«Public Domain»

Korczak J.

Moški, Joski i Srule / J. Korczak — «Public Domain»,

Janusz Korczak wyjeżdżał z warszawskimi dziećmi z ubogich rodzin na kolonie w 1904, 1907, 1908 r. Efektem tych doświadczeń był jego faktyczny debiut jako twórcy literatury dla dzieci, czyli książka Moški, Joski i Srule. Takiego sposobu pisania dla dzieci polska literatura do tej pory nie знаła. Nic dziwnego zatem, że powieść zrobiła na odbiorcach piorunujące wrażenie. Żadnego podziału na dzieci grzeczne, niegrzeczne, dobre i złe, żadnego pouczenia, moralizowania... Tego jeszcze nie było. Dzieci ją pokochały, zaczęły naśladować zabawy bohaterów oraz ich poglądy na sprawiedliwość i słusność. Dorośli mieli pewne zastrzeżenia, bo czy faktycznie można pokazywać biedne, żydowskie dzieci w taki sposób, jakby niczym nie różniły się od chrześcijańskich? Korczak zadziwił ówczesny świat prostą prawdą, że dziecko jest tylko dzieckiem, bez względu na narodowość i wyznanie. Opisał biedne, zaniedbane, znające tylko miejskie zaułki i rynsztoki dzieci, zachwycające się wsią, naturą, zwierzętami. Pokazał, jak uczą się od natury i od siebie nawzajem, jak kształtuje się ich zmysł moralny. Doświadczenia kolonijne okazały się niezwykle ważne w późniejszej twórczości Korczaka i jego koncepcjach pedagogicznych. Straszne koleje losu sprawiły, że kilka kilometrów na południe od ośrodka kolonijnego Michałówka powstał obóz zagłady Treblinka, do którego pisarz wraz z żydowskimi podopiecznymi wyruszył w swoją ostatnią podróż, tą samą drogą co 40 lat wcześniej. Trudno o tym nie myśleć przy lekturze książki, tak się bowiem dzieje, gdy w świecie zaczynają triumfować uprzedzenia, strach i nienawiść.

© Korczak J.
© Public Domain

Содержание

Bardzo krótki wstęp	6
Rozdział pierwszy	7
Rozdział drugi	9
Rozdział trzeci	11
Rozdział czwarty	13
Rozdział piąty	15
Rozdział szósty	19
Rozdział siódmy	21
Конец ознакомительного фрагмента.	23

Janusz Korczak

Moški, Joski i Srule

Bardzo krótki wstęp

Na ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie jest niski, stary dom z dużym podwórkiem. Na podwórku zbierają się dzieci, które mają wyjechać na wieś, a w starym domu mieści się Biuro Towarzystwa Kolonii Letnich¹.

Dzieci wyjeżdżają pod opieką dozorców² do różnych wsi i o każdej można by całą książkę napisać.

Opowiem wam teraz, co robili na kolonii w Michałowce³ chłopcy żydowscy. Byłem ich dozorcą, nic z głowy wymyślać nie będę – powtórzę tylko, com widział i słyszał.

Opowieść będzie ciekawa.

¹ *Towarzystwo Kolonii Letnich* – organizacja stworzona w 1882 r. przez Stanisława Markiewicza (1839–1911), lekarza, higienistę i działacza społecznego. Jej zadaniem była organizacja kilkutygodniowego wypoczynku na wsi dla ubogich miejskich dzieci (osobno dla dziewcząt i chłopców, a także dzieci chrześcijańskich i żydowskich). Siedziba Towarzystwa mieściła się na ul. Świętokrzyskiej 25 w Warszawie od 1904 r. [przypis edytorski]

² *dozorca* – tu: opiekun, wychowawca. [przypis edytorski]

³ *Michałówka* – ośrodek wczasowy Towarzystwa Kolonii Letnich wybudowany w 1902 r. niedaleko Małkini w powiecie ostrowskim (przy linii kolejowej Tłuszcz–Ostrołęka, ok. 3 godzin jazdy pociągiem od Warszawy) nad rzeką Brok (lokalna nazwa Broczysko). Składał się z czterech budynków: dwóch parterowych sypialni połączonych werandą, budynku gospodarczego i osobnej toalety. [przypis edytorski]

Rozdział pierwszy

Przed dworcem dozorca ustawiają chłopców w pary i prowadzą do wagonów.

Pociąg odchodzi dopiero za godzinę, a już dziesiątki kolonistów kręcą się po dworcu, bujają swymi płóciennymi workami i niecierpliwie oczekują, kiedy zacniemy ustawiać ich w pary i odprowadzimy do wagonu.

Kto się spóźni, ten nie pojedzie na wieś, więc się pilnują i rodzice, i dzieci.

Wczoraj ustawialiśmy się parami na podwórku na Świętokrzyskiej, więc wiadomo, kto w grupie którego dozorca będzie wywołany z kajetu⁴.

I przyglądają mu się uważnie: jaki on, dobry czy zły, wolno czy nie wolno będzie drapać się na drzewa, kamieniami ciskać w wiewiórki i wieczorem hałasować na sali? Tak myślą, rozumie się, ci tylko, którzy już byli na kolonii.

Nie wiadomo jeszcze, dlaczego jedni chłopcy są czysto umyć i ubrani, a drudzy brudni i zaniedbani, dlaczego jedni rozmawiają głośno, rozglądają się wesoło i śmiało, a drudzy lękliwie tulą się do matki lub usuwają na stronę. Nie wiadomo, dlaczego jednych odprowadza matka i ojciec, i rodzeństwo, dają na drogę pierniki, a drugich nikt nie odprowadza i nic na drogę nie daje.

Za dwa, trzy dni, gdy się poznamy, o wszystkim już wiedzieć będziemy.

A tymczasem ustawiamy się powoli.

– Pierwsza para: Górkiewicz i Krause.

Nikt się nie odzywa.

– Nie ma – odpowiadają z tłumy.

I już ktoś prosi, aby na miejsce tego, który się nie stawił, zabrać na wieś jego dziecko, takie słabe i biedne. Bo nie wszystkie dzieci są wysyłane, bo słabych i biednych jest o wiele więcej niż miejsc na kolonii. Słońca i lasu by dla nich nie zbrakło, tylko brak Towarzystwu pieniędzy na zakup mleka i chleba.

– Druga para: Soból i Rehtleben.

– Jestem! – woła Soból i pcha się przez tłum energicznie, zarumieniony ze wzruszenia, staje uśmiechnięty i pytająco patrzy w oczy.

– Zuch Soból!... Powiedz prawdę: łobuz jesteś czy nie?

– Łobuz jestem – odpowiada ze śmiechem i zwracając się do siostry, która go odprowadziła, wydaje rozkaz: „Już dobrze, możesz iść do domu”.

Ośmioletni chłopiec, który pierwszy raz wyjeżdża sam na wieś, który potrafi się przepchać przez tłum dorosłych i staje umyty czysto, uśmiechnięty, gotów do drogi, musi być zuchem i miłym łobuzem. Tak też było. On najprędzej nauczył się słać łóżko, grać w domino, nigdy nie było mu zimno, na nikogo się nie skarżył, budził się uśmiechnięty i z uśmiechem zasypiał.

– Fiszbin i Miller starszy – trzecia para.

– Jest – odpowiedział ojciec Fiszbina prędko, jakby się przestraszył.

Stali obaj blisko, musieli się bardzo pilnować, musiało ojcu bardzo na tym zależeć, by dziecko wyjechało na wieś.

– Mały Miller i Ejno. Elwing i Płocki.

Tymczasem przychodzą spóźnieni.

Górkiewicz chciał całą noc nie spać, aby się nie spóźnić, a rano ledwo go matka dobudziła i na wpół jeszcze śpiącego przyprowadziła na dworzec. On jeden z całej grupy zasnął w pociągu w drodze.

– Ósma, dziewiąta, dziesiąta para.

Rozpoczyna się tłok, prośby, pożegnania.

⁴ kajet (daw.) – zeszyt. [przypis edytorski]

– Nie rozchodzić się, bo zaraz idziemy.

I dzwonek.

Para za parą, grupa za grupą, przechodzimy przez dworzec, siadamy do wagonów. Kto zaradny i energiczny, ten zajmuje najlepsze miejsce przy oknie i jeszcze uśmiechnie się do rodziców na pożegnanie.

Dzwonek drugi i trzeci. Starsi śpiewają piosnkę kolonijną o lesie, wesołych chwilach, które tak mile płyną na wsi. I pociąg rusza.

– Czapki trzymać mocno!

Zawsze któryś czapkę gubi w drodze. Taki już zwyczaj podróżowania na kolonie.

Rozdział drugi

Chłopcy oddają w wagonie pieniądze i pocztówki do schowania. Na wsi przebierają się w kolonijne białe ubrania.

Nie wychylać się! – Nie pchać się! – Nie śmiecić na podłogę!

W ciągu pierwszych paru dni chłopcy często słyszą przykre: „nie”, dopóki nie dowiedzą się, czego i dlaczego nie wolno. Potem coraz mniej zakazów, coraz więcej swobody. Choćby chciał nawet dozorca, nie może tak przeszkadzać dobrze się bawić, jak mama, ojciec, babcia, ciocia, a jeszcze nauczycielka lub guwerner⁵ w domu dzieci bogatych, czasu mu zabraknie na uwagi, rady i napomnienia. Toteż dzieciom weselej na kolonii niż ich bogatym rówieśnikom w pięknych badach, gdzie każdemu małemu dziecku tylu dorosłych przeszkadza wesoło się bawić.

Tymczasem pociąg z hukiem przeleciał po sąsiedniej linii. Przestraszyli się, odskoczyli od okien, a potem śmiech, uciecha.

Jednemu bułka z masłem spadła na podłogę – znów radość.

– O, jaki mały koń – wołają i wszyscy tłoczą się do okien, by spojrzeć na niezwykle zjawisko.

Jest to zwyczajny duży koń, tylko stoi daleko na łące i dlatego wydaje się małym. Poznali swój błąd, gdy het w polu zobaczyli małych ludzi i małe domy.

Przystanek. Znow śpiewają i powiewają chustkami.

I rozdzwania się śmiech kolonijny – czarodziejski śmiech, który leczy pewniej niż najdroższe lekarstwa i wychowuje lepiej niż najmądrzejszy nauczyciel.

– Chłopcy, pocztówki i pieniądze oddawać. – Pierwszy w kajecie – Górkiewicz. Ile masz pocztówek?

Oddaje do schowania dziesięć groszy i cztery karty pocztowe: będzie na nich co tydzień donosił rodzicom, że jest zdrow i dobrze się bawi.

Bracia Kruki mają razem dwadzieścia groszy. Każdy z braci otrzymał po cztery grosze od rodziców na drogę i po sześć od dziadka.

– Proszę pana, prawda, że kartofle w ziemi rosną?

– Ano, prawda. Bo co?

– Bo on przez okno pokazał jakieś liście i mówi, że to kartofle. A przecież kartofle w ziemi rosną, więc nie można ich widzieć.

– Później sami zobaczycie, jak rosną kartofle – teraz nie ma czasu... Frydman, ile masz pocztówek?

– Tylko dwie: rodzice powiedzieli, że dwie dosyć. Pieniądzy nie ma wcale.

Frydman skłamał: ukrył posiadanego czworaka⁶, którego mu starszy brat dał przy pożegnaniu.

Ojciec Frydmana wiele podróżował: był w Paryżu i Londynie – nawet do Ameryki miał jechać. Ale nigdzie nie znalazł szczęścia dla rodziny i wrócił znow do kraju, by wiele bułek upiec dla innych, zanim na bochenek chleba dla własnych dzieci zarobi. I nie wiadomo, w którym z wielkich miast nauczył się mały syn piekarza nie dowierzać ludziom i nie powierzać im miedzianych czworaków. Dopiero w parę dni później oddał na przechowanie swój niewielki majątek – i często zapytywał dla pewności: „Prawda, że pan ma moje cztery grosze?”

– Czy jeszcze daleko? – pytają się dzieci, bo spieszo im do lasu, do rzeki, do łąki, o których opowiadają tyle dziwów ci, którzy już w zeszłym roku byli na kolonii.

Na kolonii jest ogromna weranda; cóż to być może takiego – weranda? – Dla wszystkich stu pięćdziesięciu są tylko cztery pokoje – cóż to za wielkie sale być muszą?

⁵ *guwerner* (z fr. *gouverneur*) – nauczyciel. [przypis edytorski]

⁶ *czworak* – moneta miedziana o wartości 4 groszy. [przypis edytorski]

Przejeżdżamy przez most⁷. Most jest zupełnie inny niż ten, który łączy Pragę z Warszawą. Ale ładniejszy, o – ładniejszy znacznie.

– Chłopcy, wysiadamy. Wszyscy macie worki i czapki?

– Mamy – odpowiadają chórem.

Na dworcu oczekuje już dwanaście wozów drabiniastych, wysłanych słomą i sianem.

– Ostrożnie na wozach, żeby któremu noga nie dostała się między koła.

– Ja będę pilnował, proszę pana.

– Dobrze, pilnuj. – Jazda!

Słońce wita bladą gromadkę. Dziękujemy ci, dobre słońce i lesie zielony, i łąko wesola. Dziękujemy wam, dzieci wiejskie, że wybiegacie z chat i uśmiechem pozdrawiacie nasze wozy wysłane sianem.

– Czy daleko jeszcze, proszę pana?

– O, tam czernieje nasz las, o, już widać i polankę – o, już i młyn – i czworaki dworskie, i wreszcie – nasza kolonia.

– Wiwat! Niech żyje kolonia Michałówka! – A więc tak wygląda weranda?

Wypijają po kubku mleka – i do roboty.

Myją się po podróży, ubierają w białe kolonijne ubrania, a najbardziej śmieszą ich płócienne czapki. Zabawne czapki, podobne do tych, jakie noszą kucharze. Teraz wszyscy wyglądają jednakowo. A malcy dumni są z otrzymanych szelek.

– Proszę pana, kiedy dostaniemy chustki do nosa?

– Chustki jutro, a teraz pakować własne ubrania do worków, worki na plecy – i marsz – do pakamery! – Raz, dwa – raz, dwa. – Tam schowa się worki na cztery tygodnie.

⁷ most – kolejowy most na Bugu przed Małkinią, zwany warszawskim. [przypis edytorski]

Rozdział trzeci

Lewek Rehtleben tęskni. Lewek Rehtleben płacze.

Takie wszystko dziwne i nowe, tak niepodobne ani do Gęsiej, Krochmalnej, ani Smoczej ulicy. Dom parterowy w lesie, ani podwórka, ani rynsztoka. Drzewa jakieś dziwne z kolcami. Łóżka stoją nie przy ścianie, a rzędami, nie w małym pokoju, a w dużej sali, jak ta, gdzie wesela się odbywają. Na obiad była dziwna zielona zupa, a później mleko. Czapki z płótna i szelki do spodni. Wieczorem nogi się myje w długim blaszanym korycie. Trzeba spać samemu w łóżku, poduszka słomą wypchana. I jeszcze okna pootwierane: złodziej wejść przecież może. A mama i tata daleko.

I Lewek Rehtleben pierwszego zaraz wieczora się rozpląkał.

Niedługo trwał płacz, bo jakże nie zasnąć po dniu tak pełnym nadzwyczajnych przygód?

Ale i nazajutrz, gdy po śniadaniu było trochę wolnego czasu, Lewek znów zaczął płakać.

– Do domu!

Dlaczego chce jechać do domu? – Może głodny? – Nie, nie jest głodny. – Może mu zimno? – Nie, nie jest mu zimno. – Może sam spać się boi? – Też nie. – Może w domu ma więcej zabawek? – Nie, wcale nie ma zabawek.

Lewek wie, że tu jest dobrze, bo mu kuzyn i chłopcy na podwórzu opowiedzieli, ale w domu jest mama.

A więc dobrze: Lewek pojedzie do domu, ale dopiero jutro, bo dzisiaj jest sobota, a w sobotę jeździć nie wolno⁸.

I w niedzielę nie mógł pojechać, bo nie było bryczki. Ale jutro już na pewno pojedzie.

W poniedziałek Lewek nie płakał, ale chciał jeszcze jechać do domu.

– Dobrze, po obiedzie pojedziesz, ale mama się zmartwi, gdy wrócisz.

– Dlaczego mama się zmartwi?

– Bo za drogę będzie musiała zapłacić.

A ojciec akurat nie robi, bo majster wyjechał – i mama chora, bo się mała siostra urodziła i doktor dużo kosztował.

Lewek westchnął ciężko i zgodził się grać w domino.

A potem, wieczorem, znów zaczął trochę płakać, bo przypomniał sobie, że miał na stacji nowy kapelusz, który ojciec chciał zabrać do domu. Ale ojciec pewnie zgubił nowy kapelusz, a kapelusz pół rubla kosztował.

I podyktował list do ojca, że nie płacze, że nie chce wrócić do domu, że wcale nie tęskni, bo chce być zdrowy, żeby tatuś nie miał zmartwienia. I co się stało z kapeluszem?

Ojciec odpisał, że kapelusza nie zgubił i przyniesie go na stację.

Lewek dużo razy brał list i oddawał znów do schowania, i przestał zupełnie wybierać się do domu – i coraz mu lepiej wieś się podobała.

Raz jeszcze miał Lewek zmartwienie: zgubił chustkę do nosa. Jakże jej nie miał zgubić, kiedy tyle szyszek i kamieni nosił w kieszeni? Chustka się prędko znalazła.

I jeszcze raz jeden strapiony był, ale teraz już z własnej winy: gwizdał i przytykał palcami wieczorem na sali. Kiedy nazajutrz przy śniadaniu pytano, kto wczoraj gwizdał na sali, Lewek pierwszy się przyznał.

– I przytykałem palcami – dodał i pokazał, jak przytykał.

⁸ w sobotę jeździć nie wolno – w tradycji żydowskiej sobota jest dniem świątecznym (szabas), podczas którego nie pracowano ani nie wykonywano niektórych czynności, m.in. nie podróżowano. [przypis edytorski]

Lewek opalił się na słońcu, przybyło mu całych trzy funty⁹ na wadze, a kiedy wreszcie wracał do domu, obiecał, że na przyszły rok znowu przyjedzie i wtedy płakać nie będzie ani razu.

⁹ *funt* – jednostka wagi obowiązująca dawniej w Polsce (ok. 400 g). [przypis edytorski]

Rozdział czwarty

Forteca. Jajecznicza. Burza. Straż ogniowa.

Gdzie jest stu pięćdziesięciu chłopców, tam musi być wojna. Gdzie ma być wojna, tam musi być forteca.

Z dawnej fortecy za lasem ślad ledwo pozostał, bo była niska i mała. Teraz powstaną zupełnie nowe cztery boczne forty, wysoki wał dla szpitali, plac dla wziętych do niewoli i okopy pod obóz. A dwa główne wały, broniące dostępu do fortecy, muszą być wysokie przynajmniej na cztery łokcie.

Mamy dwanaście łopat. Kopacze zrzucają bluzy, zawijają rękawy koszuli i biorą się do pracy. Co dziesięć minut zmiana robotników.

Korcarz, siłacz, ze starszym Presmanem stają przy pierwszym forcie; Herzman z Frydensonem i Płocki z Kapłanem we dwie łopaty pracują przy drugim; Grozowski, Margules, Raszer i Szydłowski kopią fortecę.

Chłopcy młodszy i słabszy budują mniej ważne boczne forty. Beznogi Wajnrauch o kuli ma dozór nad lewą częścią terenu, pilnuje, żeby się Bieda nie pobił z kolegami. Bo i o to przy pracy nietrudno.

Wozy zbudował nam Józef: pociął deskę na kawały, wyborował otwory i poprzeciągał sznury; wozy niepiękne, ale mocne. A gospodyni, dobra pani Papiesz, dała kilka starych kubłów do piasku.

Wszystkie szyszki idą tymczasem do wspólnego dołu, później rozdzielone będą na dwie równe części, dla obu stron walczących.

Przychodzą ze wsi: mały Jasiak z Zochą i Mania z jasnym Stachem. Pomagają szyszki zbierać.

– Raz dwa... Raz dwa...

Gdzie praca idzie zbyt wolno, tam przybywa na pomoc nowa partia robotników.

Trąbka: upłynęło dziesięć minut – więc druga zmiana bierze łopaty.

Do ubijania ziemi służą kamienie. Kierunek, długość i szerokość rowów wskazują sznurki przymocowane wbitymi w ziemię kołkami. Długa deska służy do wyrównania wałów: kładzie się ją na płask i posuwa to w górę, to na dół; deska kraje piasek jak ostry nóż. Resztę udepcze się bosymi nogami.

Dziś dopiero początek roboty, która trwać będzie ze dwa tygodnie.

– Raz, dwa...

Łopaty coraz równiej wznoszą się i opadają.

– Stój! – Spoczynek.

Jedzie ostatni transport kamieni, sypią się do dołu ostatnie garście szyszek – amunicji. Teraz chłopcy wkładają znów bluzy, zasiadają wokół fortecy i słuchają ciekawej opowieści o małym Włochu, z dobrze wszystkim znanej książki Amicisa¹⁰.

Godzina czwarta się zbliża. Robotnicy ustawiają się parami i z narzędziami pracy na ramionach pod takt wesołego marsza wracają na posiłek do domu. Dyżurni wynoszą na werandę miski z wodą do rąk i ręczniki. Wszystkim bez wyjątku smakuje podwieczorek.

Jakże nie ma smakować? Toż dziś jajecznicza z kartoflami.

Jedni zgarniają na bok jajecznicę, naprzód zjadają mniej smaczne kartofle, jajecznicę zostawiają na deser.

Drudzy, mniej przezorni, zjadają naprzód jajecznicę, a później kartofle. Inni wreszcie twierdzą nie bez słuszności, że najlepiej zmieszać i jeść razem, wówczas bowiem kartofle smakują tak samo, jak czysta jajecznicza. Każda metoda jedzenia ma swych zwolenników i przeciwników – i dlatego prowadzą się ożywione spory podczas podwieczorku. Czasem proszony jest o rozstrzygnięcie sporu

¹⁰ *De Amicis, Edmondo* (1846–1908) – włoski pisarz, autor książek dla młodzieży. Do jego najsłynniejszych dzieł należy utwór *Serce* z 1886 r. [przypis edytorski]

dozorca, który jako człowiek starszy i doświadczeńszy na pewno wie lepiej, jak należy jeść jajecznicę z kartoflami, czasem spór przechodzi w kłótnię, a jeśli mam zupełnie być szczerzy, zdarza się, że ktoś chce przekonać sąsiada o słuszności swych poglądów za pomocą pięści. Dziwne bowiem zwyczaję panują na kolonii.

A wieczorem nadciągnęła burza.

Po błyskawicy uderza grzmot; las odpowiada groźnym pomrukiem. Szyby w oknach sypialni drżą z niepokoju, wicher bije w nie mocno grubymi kroplami deszczu.

Chłopcy powinni się bać: burza w lesie jest straszna. A jednak usypiają spokojnie, wiedzą, że na kolonii nic złego stać się nie może. Może ten i ów drgnie pod odgłos mocnego grzmotu, ale usypiają, znuzeni pracą i walną naradą nad tym, jak jeść należy, razem czy osobno, kartofle i jajecznicę.

A nazajutrz znów słońce świeciło.

Ulewa obniżyła, ale i umocniła wały. Najmłodszy też otrzymują łopaty i kopią pod dozorem starszych. Więc Korczak dozoruje małego Wajca, Froma i Fiszbina; Frydenson kopie z kaszlącym Najmajstrem. Przybywa na pomoc Rotberg i Kulig.

Z Zaręb Kościelnych¹¹ przychodzi matka z bladym chłopcem, który uczy się na rabina¹². Chce się poradzić o zdrowie syna, bo słyszała, że na kolonii słabe dzieci stają się mocne. Dziwi się kobieta, że chłopcy tak ciężko pracują przy budowie fortecy, a jednak są tak weseli.

A weseli są koloniści, bo śpią na słomie, bo piją mleko, i las tak pachnie, i słońce świeci...

Kiedy po tygodniu roboty ziemne żywo posunęły się naprzód, trzeba było pomyśleć o budowie kolei. Józef dał najgorszą miotłę i najstarsze grabie.

Plant¹³ kolejowy, równo wysadzony kamieniami i patykami, ciągnie się aż do szosy. Sikora jest dróżnikiem, bo chory na serce i biegać nie może; lokomotywą jest Cudek Gewisgold, bo świszcze jak prawdziwy parowóz.

Nagromadzono dużo budulca, więc w obawie pożaru organizuje się straż ogniowa.

Kaski strażackie robią się z chustek do nosa.

Oddział każdy otrzymuje chorągiewkę i trąbkę. Jest i drabina, i taczka, i sznury, a że węża gumowego brakło, więc zastąpiono go długim korzeniem.

Pan Mieczysław zbudował głęboki piec w polu z wysokim kominem z kamieni. Naznoszono suchego drzewa, urządzono próbę pożaru.

Pięć oddziałów straży ustawia się w różnych miejscach. Każdy oddział pod drzewem, na drzewie – czatownia.

Już dym się unosi z komina, gore suche drzewo. Pędzi oddział Praski, Mirowski, Nalewkowski¹⁴, rozstawiają się topornicy, jedzie zaprzężony w czterech ognistych chłopców pierwszy kubeł wody.

A policja rozpycha gapiów, wołając:

– Nie pchać się... Nazad... Czego wam?

Zupełnie jak na prawdziwym pożarze.

¹¹ *Zaręby Kościelne* – wieś położona w powiecie ostrowskim (woj. mazowieckie), niedaleko której mieścił się ośrodek kolonijny Towarzystwa Kolonii Letnich „Michałówka”. [przypis edytorski]

¹² *rabin* (z hebr.: mistrz, nauczyciel) – religijny przywódca w judaizmie zajmujący się interpretacją prawa żydowskiego i orzecznictwem w sprawach rytualnych. Każda społeczność wybiera swojego rabina na podstawie jego wiedzy i autorytetu. [przypis edytorski]

¹³ *plant* – teren wydzielony pod tor, nasyp i grunt do niego przylegający. [przypis edytorski]

¹⁴ *oddział Praski, Mirowski, Nalewkowski* – oddziały warszawskiej Straży Ogniowej powołanej w 1834 r.: oddział I przy ul. Nalewki 3, oddział IV na Chłodnej 3, ulokowany w byłych koszarach Mirowskich, i oddział V na Pradze (Brukowa róg Szerokiej, obecnie Stefana Okrzei). [przypis edytorski]

Rozdział piąty

Sąd kolonijny. Sprawy cywilne i karne. Wyroki sądowe.

– Proszę pana, on się pcha – sypie piasek – zabrał łyżkę – nie daje grać – bije się – przeszkadza.
– Proszę pana!

Gdzie jest stu pięćdziesięciu chłopców, tam musi być codziennie trzydzieści kłótni i pięć bijatyk; gdzie są spory i bójkki, tam powinien być sąd; sąd musi być sprawiedliwy, cieszyć się powagą i zaufaniem. I taki właśnie sąd mieliśmy w Michałowce.

Sędziów jest trzech: przez głosowanie wybrali ich spośród siebie chłopcy. Co tydzień głosowanie się powtarza, a jego wyniki podaje tabelka:

Otrzymali głosów:

Nazwisko kandydata	W pierwszym tyg.	W drugim tyg.	W trzecim tyg.	W czwartym tyg.
Presman...	4	13	25	17
Płocki...	—	6	16	17
Frydenson...	10	13	21	16
Kapłan...	10	5	10	1
Margules...	10	—	—	11
Grozowski...	6	11	—	—

Dopiero w trzecim tygodniu, jak widać, wybrali chłopcy sędziów, z których byli zadowoleni, bo zostawili tych samych na czwarty tydzień.

Sąd odbywa się w lesie albo na werandzie, sędziowie siedzą na krzesłach przy stole, oskarżeni i świadkowie na długiej ławce, a publiczność stoi za ławką. Woźni pilnują porządku. Dozorca, który jest i prokuratorem-oskarżycielem, i adwokatem-obrońcą, zapisuje wszystko do grubego kajetu w czarnej oprawie. Po sprawie sędziowie idą na naradę, a ogłoszenie wyroku oznajmia dzwonek.

*

Fiszbin rzucił kamieniem w Olszynę i trafił go w nogę, ale niezbyt mocno. Olszyna płakał jednak.

– Czy rzuciłeś w Olszynę kamieniem?

– Nie.

– Kiedy ludzie widzieli, że Olszyna trzyma się za nogę i płacze.

– Nieprawda, nie rzuciłem, i Olszyna nie płakał.

Następuje przesłuchanie świadków. Sąd uprzedza, że kłamstwo surowo jest karane. Ustalono czas i miejsce przestępstwa, ilość i nazwiska świadków.

– Rzuciłeś kamień?

– Nie.

Ponowne dokładne przesłuchanie świadków stwierdza, że Fiszbin zupełnie bez powodu rzucał w Olszynę szyszki i małe kamyki.

– Czy rzucałeś w Olszynę szyszkami?

– Tak, szyszkami rzucałem.

- Dlaczego?
 - Bo miałem dużo szyszek i nie wiedziałem, co z nimi zrobić.
 - Dlaczego nie rzuciłeś ich na ziemię?
 - Bo mi było szkoda. (Publiczność się śmieje).
 - Czy między szyszkami na pewno nie było kamieni?
 - Nie wiem.
- Sąd wziął pod uwagę młody wiek Fiszbina i skazał go tylko na 10 minut kozy¹⁵.

*

Czasem skarżyły obie strony, jak widać z następującej sprawy. Spór wynikł podczas rannego śłania łóżek na sali.

– Więc było to tak: ja słałem łóżko, a on mnie pchnął. Ja jego odepchnąłem, a on mi rzucił poduszkę. Ja podniosłem poduszkę, a on mnie uderzył.

– Nieprawda! Ja słałem łóżko, a on kopnął moją poduszkę. Ja jego pchnąłem, a on mnie uderzył pierwszy.

- Ach, ty kłamczuchu!
- To ty kłamczuch.
- W sądzie nie wolno się kłócić.
- Czy zrzuciłeś poduszkę?
- Bo on pierwszy...
- Proszę odpowiedzieć: tak czy nie?
- Tak, ale on pierwszy.
- Są świadkowie?
- Wszyscy widzieli.
- Wszyscy widzieć nie mogli. Prosimy o nazwiska dwóch świadków. Kto stał blisko i widział?
- Nie wiem.
- Czyś go pchnął?
- Jak ja słałem i słałem łóżko...
- Wiemy. Proszę odpowiadać krótko: tak czy nie?
- Nie.
- Ach, ty kłamczuchu.
- Proszę o spokój. W sądzie nie wolno się kłócić.

Łóżka obu zwaśnionych stoją obok siebie. Kto kogo popchnął pierwszy, umyślnie czy nieumyślnie, wobec braku świadków ustalić nie sposób. Czy więc nie lepiej się pogodzić, niż czekać na wyrok, który zapewne potępi obie strony, skoro przyznają się do bójki?

Rozumie się, że w tych warunkach lepiej się pogodzić.

*

A oto krwawa rozprawa, gdzie rzecz jasna, o zgodzie mowy już być nie może.

Protokół lekarski głosi:

„Oskarżony Flaszenberg ma prawy policzek spuchnięty i siedem śladów zadrapań: jeden koło nosa, jeden koło ucha, trzy na policzku i dwa na brodzie. Prócz tego na lewej ręce dwa zadrapania.

Oskarżony Zaksenberg ma siniak na czole wielkości czterech groszy, nos podrapany i na lewym policzku zadrapanie długości dwóch centymetrów”.

¹⁵ *koza* (daw.) – kara polegająca na zatrzymaniu ucznia w szkole po lekcjach. [przypis edytorski]

Początku walki nikt nie widział, a przebieg opisali liczni świadkowie.

Obie strony bardzo się chciały pogodzić, ale że były tu krwawe ślady bójki, obaj zapaśnicy odsiedzieli po minut piętnaście aresztu kolonijnego.

*

Sąd kolonijny rozważa też sprawy, gdzie oskarżał sam prokurator-dozorca.

Oto na ławie przestępców zasiadają: Pływak i Szydłowski.

Pływak i Szydłowski poszli daleko za kolonię w pole, nie słyszeli dzwonka i spóźnili się na śniadanie.

– Czy nie wiedzieli, że za las kolonijny sami wychodzić nie mają prawa, bo mogą zabłądzić, utopić się w rzece, krowy mogą ich pobość lub psy pokąsać? – Czy nie wiedzieli, że na śniadanie nie wolno się spóźniać, bo po śniadaniu mamy iść do kąpieli? – I po co poszli za las, kiedy tu mają dość miejsca do zabawy?

Pływak i Szydłowski poszli kwiaty zbierać.

– Panowie sędziowie! Chłopcy ci zawinili niewątpliwie. Na śniadanie, obiad, podwieczorek, kolację nie można się spóźniać, nie może stu chłopców czekać na jednego lub dwóch. Nie możemy każdego szukać z osobna w lesie i za nos ciągnąć do stołu. Dlatego jest dzwonek; i dzwonek pilnować się trzeba. Należy więc ich ukarać, a jednak... Pływak i Szydłowski poszli za las kolonijny po kwiaty. Na wsi wolno kwiaty zrywać. Tak ich to ucieszyło, że zapomnieli o jedzeniu; Pływak jest pierwszy raz na kolonii, Szydłowski był w Ciechocinku, ale tam też kwiatów jest mało. Więc może ten raz pierwszy im przebaczyć?

I sędziowie po krótkiej naradzie uniewinnili obu oskarżonych.

*

Najprzyjemniej hałasować wieczorem, gdy leży się już w łóżku. Może i nie przyjemnie nawet, bo spać się chce, oczy same kleją się do snu. Ale czemu nie spróbować, kiedy nie wolno?

„Jeżeli zabroniono surowo, a ja gwizdnę głośno, krzyknę, zamiauczę lub zapieję jak kogut, dozorca będzie się złościł, a wszyscy będą się śmieli. Sala wielka, na sali ciemno, łóżek trzydzieści osiem, dozorca nie dowie się, kto gwizdnął. A ja jutro będę się chwalił: widzicie, jaki jestem odważny i mądry. Hałasowałem najwięcej, a on mnie nie złapał”.

Tak myślą chłopcy, dopóki się nie przekonają, że dozorca nie złości się nigdy, że wcale nie zechce wyśledzić, kto hałasował, a dokazywać wieczorem zabrania, boć muszą spać dziewięć godzin, aby o szóstej rano wstali wyspani i weseli.

Wczoraj wieczorem był hałas na sali. Dziś każdy po kolei staje przed sądem, by odpowiedzieć na pytanie, czy krzyczał, piał, szczekał, miauczał lub klaskał w ręce.

Wszyscy odpowiadają przecząco, wszyscy się wypierają. Tylko dwóch złapał wczoraj dozorca na gorącym uczynku i ci dwaj, Wajc i Prager, zasiadają na ławie oskarżonych.

– Jak ich ukarać, panowie sędziowie? Kara być musi surowa. Tacy dwaj chłopcy nie tylko sami wybijają się ze snu, ale i innym spać przeszkadzają. Wina ich duża, nawet bardzo duża, więc jak ich mamy ukarać? Zanim odpowiemy na to pytanie, musimy zadać inne, jeszcze ważniejsze: czy wczoraj na sali hałasowali tylko ci dwaj – Wajc i Prager? Nie, było ich znacznie więcej.

Prokurator rozłożył na stole plan sali i mówi bardzo powoli:

– Hałas był koło okna, gdzie stoją łóżka: Kapłana, Biedy, Płockiego i Szydłowskiego. Hałas był w środkowych rzędach, gdzie leżą: Wajnrauch, Grozowski, Stryk, From i Zawoźnik.

Hałas był koło okna w pierwszym rzędzie, gdzie jak widać z planu, śpią: Flaszenberg, Fiszbin, Rotkiel i Pływak. Śmiano się i klaskano w ręce, gdzie stoją łóżka: Altmana, Lwa, Wolberga i

Adamskiego, a wreszcie gwizdał ktoś tam, gdzie śpią: Najmajster, Zaksenberg i Presman. Pytaliśmy się wszystkich, nikt się nie przyznał.

Tu prokurator zamilkł. Wielu spośród publiczności pospuszczało oczy ku ziemi. Zacerwienił się nawet jeden z sędziów, gdy usłyszał swe nazwisko podczas przeglądu planu sypialni.

– Dlaczego tylko Wajca i Pragera udało się wczoraj zauważyć? Bo nie umieli się ukryć. Dlaczego oni dwaj tylko nie umieli się ukryć, gdy ukryło się tylu innych? Bo nie są łobuzami, albo są małymi i niedoświadczonymi łobuzami, albo też nie wiedzieli, jak bardzo zabronione są krzyki wieczorne w sypialni. Czy mamy więc prawo karać tych mało winnych, gdy winniejsi od nich, bo mądrzejsi, i winniejsi, bo skłámali przed sądem – pozostaną bez kary? Zawinili wszyscy, cała sala, wszyscy trzydziestu ośmiu, bo i ci także, którzy słysząc, że sąsiad hałasuje, nie kazali mu się uciszyć. Proponuję więc, sędziowie, aby Wajca i Pragera uniewinnić, a całą grupę ukarać: Grozowski nie będzie dziś wieczorem grał wam na dobranoc na skrzypcach.

Długo sąd się naradzał, a wyrok ogłosił:

„Wajca i Pragera uniewinnić. Grozowski niech dzisiaj gra, bo hałas się już nie powtórzy”.

I dotrzykali słowa.

Rozdział szósty

Ranek. Złe i dobre krany. Słanie łóżek i przylepki.

Bywało, że jakiś niezwykle wypadek budzi całą salę od razu, w jedno mgnienie oka. Na przykład przez otwarte okno wpadł nieostrożny wróbel lub się mysz polna zabłąkała. Któż by spać się ośmielił wobec tak ważnego zdarzenia? Wszystko, co żyje, skacze przez łóżka, na okna, odbywa się polowanie. Jednakże zdarza się to wyjątkowo tylko.

Zwykle na kilkanaście minut przed szóstą cichy szmer zwiastuje, że sala się budzi – i jeśli dozorca spojrzy przez okno swego pokoju na salę, choćby nie miał zegarka, wie, że czas wstać.

W rogu sali zebrała się starszyzna grupy i żywo rozprawia na temat zawieszonych kartki z planem dnia, a więc kto jest dziś dyżurnym, kto ma po śniadaniu przyjść na opatrunek, bo przy palancie¹⁶ nogę sobie zadrapał; dalej: kąpiel, próba wyścigów, spacer do olszynki, pisanie listów do domu.

Ktoś przy oknie przygląda się kwiatom: czy przez noc urosły. Inny, siedząc w łóżku, uderza krzemieniem o krzemień i dziwi się, że iskier nie ma, a sąsiad go poucza, dlaczego tak się dzieje. Paru chłopców goni się między łóżkami, starając się czynić to jak najciszej. Wreszcie któryś krzyknie: „Nauczyciel patrzy!” – i wszyscy dają nurka do łóżek.

I rano nie wolno hałasować na sali, ale nie wolno mniej znacznie, bo i tak za kilka minut wstać będzie trzeba.

Wielu już pod kołdrą pospuszczało do pasa koszulę, by na pierwsze hasło wyskoczyć żywo i zająć najlepszy kran w umywalni.

Najlepsze z dziesięciu są środkowe krany, z dwóch ostatnich woda leci zbyt małym strumieniem, a z dwóch pierwszych bije zbyt mocno i pryska. A woda zimna, studzienna.

– Pierwszy rząd, wstawać!

Nie ma takiego, który by się ociągał. Biegają, tupiąc głośno bosymi nogami, czasem się który poślizgnie na kamiennej podłodze umywalni, wszyscy się śmieją i on się śmieje.

– Proszę pana, on zabrał mydło.

– Chcesz go podać do sądu?

– Nie.

Spieszą się, bo drugi rząd niecierpliwie czeka kolei i tyle jeszcze pracy przed pierwszym śniadaniem.

– Drugi rząd, wstawać!

Spieszą się, bo Józef nie lubi, gdy dużo wody wychodzi, a trzeba żyć z nim w zgodzie, bo grabie i miotłę pożycza.

– Trzeci rząd, wstawać! – Głowa, szyja, uszy, nos i oczy. Kto się źle umyje, będzie musiał wrócić na poprawkę.

Trzeci rząd biegnie do kranów, drugi wyciera się i ubiera, pierwszy łóżka ściela.

Słanie łóżek – niełatwa to sprawa. Trzeba strzepać prześcieradło, rozruszać słomę w sienniku, równo położyć kołdrę, na wierzchu lekko oprzeć poduszkę, a ręcznik gładko zawiesić na poręczy. Każdy stara się wykonać to najpiękniej, by móc zapytać się z dumą:

– Proszę pana, a moje dobrze?

Młodszym pomaga dyżurny; tylko mały Adamski gardzi pomocą i w nagrodę za sumienną pracę zostaje ręcznikowym dyżurnym.

I tu przy słaniu łóżek, jak i przy myciu, zawsze ktoś komuś przeszkodzi i po karku oberwie.

– Proszę pana, on mnie bije.

– Chcesz go podać do sądu?

¹⁶ *palant* – gra, w której uczestnicy podzieleni na dwie drużyny podbijają kijem małą piłkę gumową. [przypis edytorski]

– Nie.

– To jazda na werandę.

Rano są wszyscy w dobrym humorze, więc chętnie przebaczą swym wrogom.

Sala pustoszeje, zaludnia się weranda.

Prędko modlą się chłopcy, niektórzy może zbyt szybko przewracają kartki modlitewników – „syderów”¹⁷. Ale Bóg wyrozumiały jest dla dzieci kolonii, nie gniewa się o to.

Dzwonek.

– Proszę pana, dziś ja pierwszy dostaję przylepkę.

Z całego chleba przylepki są najsmaczniejsze, dlatego chłopcy dostają je po kolei.

Szkoda, ach szkoda, że chleb ma dwie tylko przylepki.

Chłopcy siedzą przy stołach, dyżurni roznoszą mleko.

¹⁷ *syder*, właśc. *sidur* (z hebr. *sidur*: porządek) – zbiór modlitw codziennych. [przypis edytorski]

Rozdział siódmy

Kąpiel. Pisklęta, bocian i tatarak. Głupi człowiek. Marzenia o wędcie i palant.

Idziem, idziem do kąpieli,
Wrócim czysti i weseli
(powtórzyć:)
Lewą, prawą —
Dalej żwawo —
Idziem wszyscy wraz.

Tak śpiewają chłopcy, idąc parami przez polankę koło czworaków, przez podwórze dworskie, przez drogę między ogrodem – aż na łąkę koło młyna – do rzeki.

Woda, mydło niechaj żyje.
Umyjemy ręce, szyję,
(powtórzyć:)
Słońko grzeje,
Wiatr nie wieje —
Do kąpieli czas.

Duże, jasne, dobre słońce wsi polskiej patrzy z łagodnym uśmiechem na długi sznur dzieci, słucha ich śpiewu i nie pytając się, kto one, skąd przyszły, gładzi i rumieni złotymi promieniami ich blade twarze.

Wstyd się lękać zimnej wody;
Musi zuchem być, kto młody,
(powtórzyć:)
Jak ta rybka,
Zwinna, szybka,
Buch do wody, buch!

Jedna kąpiel – to tysiąc śmiechów i tysiąc czarów – sto ciekawych widoków i dziesięć co najmniej przygód.

– Ooo, proszę pana – co to?

Ba, cudowne zjawisko: kura z pisklętami. Kto nie był jeszcze na wsi, widzi je po raz pierwszy.

– Ach, cóż byłoby za szczęście złapać jedną taką śmieszoną żółtą kurkę i trochę potrzymać. Ale dozorca nie pozwoli – ten nieznośny, nudny dozorca.

Więc przynajmniej obejrzyć z bliska, dokładnie. I pary się rozbiegają.

– Proszę pana, on nie idzie w parze.

– Chcesz go podać do sądu?

– Nie.

Idziemy dalej.

– Proszę pana, co to?

Ba, drugie cudowne zjawisko: gniazdo bocianie na kole i sam gniazda gospodarz – bocian.

Takiego dużego ptaka chłopcy nie widzieli jeszcze: większy od indyka.

– To nie ptak, to balon – poucza któryś.

A teraz strach: mijamy się na wąskiej drodze z krowami. Codziennie się spotykamy.

Krowy się zatrzymują i bardzo ciekawie patrzą na białe bluzy i białe czapki płócienne chłopców. Niektóre łby odwracają i patrzą z ukosa, jak gdyby myślały:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.